

ED DANYLUK

**TRYZUB
IMPERIAŁ**

**TŁUMACZENIE:
ZBIGNIEW LANDOWSKI**

ED DANYLUK

TRYZUB IMPERIAŁ

**TŁUMACZENIE:
ZBIGNIEW LANDOWSKI**

© Copyright by
Ed Danyluk & e-bookowo 2019
Tłumaczenie Zbigniew Landowski

Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-811-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2019

Jesień 1982 r. Mieszkańcami małego miasta leżącego w zachodniej części Ukrainy (niegdyś, dawno temu, będącego stolicą wielkiego mocarstwa) wstrząsnęły głośnie zabójstwa. Związane z nimi było w jakiś sposób dziwne znalezisko, niepokojące umysły śledczych – niezwykła moneta, złoty imperiał. Pieniądz państwa, którego nigdy nie było.

Jakakolwiek zbieżność imion, wyglądu postaci, charakterów czy zdarzeń z życia bohaterów literackich z realiami życia osób rzeczywiście istniejących jest tylko i wyłącznie przypadkowa. Sposób postrzegania i traktowania przez autora wydarzeń historycznych, zjawisk fizycznych, niektórych koncepcji naukowych może nie pokrywać się z ogólnie przyjętymi. Postępki i wypowiedzi bohaterów są adekwatne do czasu, w którym działali oraz ich składowi umysłu, i nie zawsze wyrażają punkt widzenia autora.

Poniedziałek, 20 września 1982 r.

Łuck, kostnica, pracownia badań anatomopatologicznych, 09:25.

Wszędzie królowała zwykła dla tego przybytku zimna, kliniczna czystość i porządek.

Na środku tonącej w półmroku sali wznosiły się trzy metalowe stoły. Na dwóch z nich – jak można było się domyślić – pod szpitalnymi prześcieradłami spoczywały nieruchomo ciała ludzkie. Oświetlone były bezcieniowymi, ogromnymi lampami, takimi samymi, jakie znajdują się w salach operacyjnych.

W sali czuć było formalinę, spirytus do dezynfekcji, chemiczne środki czystości, wilgoć i jeszcze coś nieuchwytnego.

– Będziesz pisał?

– Tak, będzie szybciej.

Dwóch mężczyzn wymieniło między sobą spojrzenia. Obaj mieli jednakowe, szare, pokrytych spranymi plamami fartuchy, bezkształtne czepki i kalosze na nogach.

– Przejdź do sedna sprawy.

Jeden podszedł do stołu pod ścianą, stopniowo, nie spiesząc się, usiadł i tak samo – bez zbędnego pośpiechu – otworzył teczkę leżącą na wierzchu i zaczął ją czytać. Tymczasem drugi nałożył fartuch – wielki, gumowy, podobny do

tego, jaki noszą rzeźnicy na rynku.

– Ej, pomożesz choć trochę? – krzyknął odwróciwszy się do drzwi wejściowych.

– Idę! – z korytarza dobiegł przygłuszony głos.

– Idzie! – burknął siedzący za stołem. – Znowu najgorszą robotę wykonają dyplomowani anatomopatolodzy, a ci tylko baki zbijają...

Przyglądziwszy fartuch dłońmi, drugi zdjął tkaninę z jednego z nieboszczyków. Przez kilka sekund patrzył na leżące przed nim ciało. Potem zgniótł prześcieradło i rzucił je pod dostawiany stół.

– Od noża – powiedział.

Mężczyzna za stołem skinął głową w milczeniu, ciągle jeszcze pogrążony w lekturze.

Sala patologoanatomów znajdowała się w wysokiej suterenie, okna znajdowały się praktycznie na poziomie gruntu. Przez niemyte okna można było zobaczyć, jak przy samej ścianie wiatr igra kwiatami na najbliższym z klombów.

– Więc tak – w końcu przemówił siedzący – Orest Pietrowicz Rewa, mężczyzna, sześćdziesiąt jeden lat, emeryt. Mieszkał w prywatnym, własnym, parterowym domu w mieście Wołodymirze. Wdowiec. Jego jedyne dziecko – dorosła córka, mieszka w Dniepropietrowsku...

– Po co to nam? – obojętnie rzucił człowiek w fartuchu.

– Przejdź do meritum.

Kolega spojrział na niego i przewrócił kartkę.

– Został znaleziony przez sąsiadkę, wczoraj o siedem-

następ dziesięć. Właśnie ta sąsiadka, najprawdopodobniej, była ostatnią osobą, która widziała go żywego. Wedle jej słów, około czternastej Rewa wyszedł z domu i poszedł ulicą w stronę najbliższego przystanku autobusowego...

– Mogli zatem ustanowić czas śmierci i bez nas.

– Mogli – zgodził się czytający. – Tak... Nieboszczyka znaleźli w pozycji półsiedzącej, opartego plecami o ścianę w odleglejszym końcu werandy, przy drzwiach wiodących do pokoju. Oczy miał zamknięte. W klatce piersiowej, z przodu, nieco na lewo od mostka, znajdował się otwór, w który wetknięto ostrze załączonego noża. Dookoła widać było obfite strugi ciemnoczerwonej barwy. Złamań nie odkryto. Uszkodzeń rąk i nóg także. Stężenie pośmiertne objęło już mięśnie szyi i klatki piersiowej. W chwili oględzin... – Patologoanatom zatrzymał się i spojrzał na pierwszą stronę protokołu. – A oględziny przeprowadzono o dziewiętnastej piętnaście...

– Jasne...

– Sam wiesz. – Czytający wzruszył ramionami. – Plamy opadowe zaobserwowano tam, gdzie powinny być – u nieboszczyka znajdującego się w pozycji półsiedzącej. Błędny podczas nacisku i odtwarzały zabarwienie po piętnastu/dwudziestu sekundach. Temperatura w pomieszczeniu w chwili oględzin wynosiła dwadzieścia jeden stopni...

– Dobrze, dobrze – powtórzył niecierpliwie drugi. – Wszystko?

– Wszystko. Pisać, czy czekamy na sanitariuszy?

– Doczekasz się ich – warknął, ale bez złości, mężczyzna w fartuchu. – Zaczynajmy, bo noc nas tu zastanie. Spis odzieży?

– Tak, protokół jest już zaczęty. Choć to oni go zaczęli.

Patologoanatom skinął głową, wyciągnął z kieszeni fartucha okulary i włożył je na nos. Potem pochylił się nad trupem i, jakby starając się go wywachać, zaczął oglądać skórę, z góry w dół, od twarzy po palce stóp.

– No cóż, pisz... – powiedział w końcu. – Nieboszczyk płci męskiej, prawidłowej budowy ciała, szczupły, długość ciała... – Wziął ze stołu krawiecką miarę i przeprowadził pomiar. – ...sto siedemdziesiąt dwa centymetry. Z wyglądu – sześćdziesiąt do sześćdziesięciu pięciu lat. Powierzchnia skóry – poza obszarem pokrytym wybroczynami pośmiertnymi – barwy szaro-żółtej, zimna w dotyku. Plamy opadowe w obrębie potylicy... – wymawiał standardowe zdania obojętnym głosem, szybko, bez zastanowienia. – ...Pod naciskiem palców plamy opadowe nie blakną. Brak oznak stężenia pośmiertnego praktycznie wszystkich grup mięśni. Głowa ma kształt owalny, owłosienie głowy jest siwe, długość włosów na czole – do dwóch centymetrów. Twarz blada, powieki opuchnięte. Gałki oczne elastyczne, obserwuje się nieznaczną enoftalmię, źrenice...

Do sali bezszelestnie wszedł sanitariusz. Ubrany był tak samo jak patomorfolog, tylko bez czapki, a jego ciemne włosy, zlepione w klaki, sterczały we wszystkich kierunkach. Jego twarz wyrażała senność.

– Co mam zrobić? – spytał przepraszającym tonem.

– Teraz to już poczekaj. – Mężczyzna za stołem ode-
rwał się od protokołu, spojrzał na przybysza i z wyrzutem
pokiwał głową.

Ten rozłożył ręce.

– ...Na skórze szyi nie ma uszkodzeń –kontynuował
tymczasem patolog. – Klatka piersiowa o budowie cy-
lindrycznej, brzuch powyżej poziomu żeber. W miejscu
połączenia na piersi dziewiątego i dziesiątego żebra, po
lewej widoczna jest rana o długości około trzech centy-
metrów... – Wziął cienką, metalową linijkę, a właściwie
nie tyle linijkę, co pręt z nacięciami i włożył go do rany.
– ...i o głębokości dwunastu centymetrów, idąca z góry
w dół, z prawej w lewo... Płaszczyzna skóry otaczającej
ranę, pokryta jest suchym nalotem o barwie czerwono-
brunatnym... – Lekarz przechylił się przez ciało, po kolei
podniósł ręce nieboszczyka i obejrzał je – od pach do koń-
ców palców. Później nie mniej starannie obejrzał nogi. –
Paznokcie sinieją, są czyste. Na prawym udzie, z przodu,
widać dwie stare blizny – zaczynają się o trzy i jednaście
centymetrów od górnej części stawu kolanowego. Bliższa
z blizn ma długość trzech i szerokość jednego centymetra.
Druga, odpowiednio, cztery i jeden centymetr. Blizny są
blade, bez widocznych oznak nieprawidłowości.

– Pozostałości po wojnie? – zaproponował mężczyzna,
piszący protokół. – Rany po kulach?

– Tak wyglądają – skinął głową mężczyzna w fartuchu.

Wtedy jego wzrok zatrzymał się na stopie leżącego cia-
ła. Przez jakiś czas lekarz po prostu patrzył na jej podbicie.